



Stefan Żeromski

DOKTOR PIOTR



DOKTOR PIOTR

Stefan Żeromski

W pokoju pana Dominika Cedzyny ciemno i cicho, choć stary jegomość nie śpi. Opartszy się plecami o poduszki, wpiótleżąc na łóżku, zatopiony jest w dziwacznych myślach, do niebywałego ogromu podniesionych przez ciszę nocną. A noc jest cicha śmiertelnie. Światło księżycowe, przestrzeliwszy grubą warstwę szronu, co zabielił szyby niby wapno, stoi na powierzchniach starych gratów, dwu ścian, części sufitu i podłogi, bez ruchu, jakby z zimna skostniało, takie samo zapewne, jakie oświetlać musi tej nocy kłody gnijące na dnie wód przywalonych lodem. W szparze szerokiego zapiecka odzywa się czasami świerszcz, w kącie pokoju kołace głucho stary zegar szafkowy, ostatni zabytek świetności minionej. Śpiew świerszcza i tępy szcęk wahadła sprawiają panu Dominikowi niejaką, trudną do określenia, ulgę. Gdyby nie te dwa litościwe szmery, rozszarpałyby mu chyba serce tłok i burza uczuć i odebrała rozum nawałnica ponurych myśli. Gdy z mrocznych kątów izby wychylać się poczną zmory bojaźni, gdy w sercu żarzyć się poczyną żal bezsilny i łzy okrutnego bólu palą powieki — świerszcz szepce głośniejsze, zupełnie jak gdyby wyraźnymi słowami, sylaba za sylabą, mówił:

„Wzywaj Go w dzień utrapienia, a wyrwie Cię i czcić Go będziesz”.

To dziwne zdanie, ta rada czy modlitwa utajona w szmerze robaczka nocy, jest jedynym i ostatnim punktem podparcia dla wytraconych ze zwyczajnej kolei myśli samotnika.

Kilkakrotnie zapalał świecę sadząc, że go światło uspokoi. Daremnie. Skoro zatlił zapałkę, rzucał mu się w oczy list syna i przypominał, jakie i gdzie ta męka ma źródło. Teraz ogarnęła go chęć zajrzenia raz jeszcze nieszczęściu w same ślepie, dźwignęła z niemocy ducha biedna odwaga smutnych aż do śmierci: zapuścić sondę w głąb rany, do cna ją wymacać, przekonać się naocznie i nieomylnie, że jest niewyleczalną — no, i niech tam wszystko jasne pioruny spalą!

Nałożył okulary, odsunął list za płomień i powoli, półgłosem czytać zaczął:

„Mój drogi Ojczy!

Ze wszystkich moich złotych marzeń diabeł sobie fidybus skręcił i zapalił cygaro. Chełpiłem się niegdyś z moich zdolności do matematyki, oczy mi na

wierzch wyłaziły z pychy, gdy koleżkowie kpinkowali, że ja już w łonie matki, w randze sześciomiesięcznego embriona, oczekując chwili wydostania się na ten padół rachunku różniczkowego, rozwiązywałem z nudów algebraiczne zadanie o gońcach. Teraz przeklinam i te niby zdolności, i te głupie rachunki. Gdybym był pasażerem na wygonie albo i same wieprzki...

Ale co to pomoże w bawełnę obwijać! Awantura ma taki deseń: mniej więcej przed trzema tygodniami prosi mnie do siebie profesor i daje do czytania list niejakiego Jonatana Mundsleya, chemika, byłego profesora w jednym z uniwersytetów angielskich. Ten pan porzuciwszy katedrę, urządził sobie laboratorium prywatne i prosi naszego starego o wskazanie mu najzdolniejszego spośród asystentów naszej politechniki, chce bowiem takiemu facetowi powierzyć kierownictwo owej budy. Obiecuje płacić dwieście franków miesięcznie, dać mieszkanie, wszelkie materiały, jakich chemik dusza za pragnie, opał i inne przyjemności — no, i prawie zupełną swobodę w pracy. Gdy list przesylabizowałem, profesor odebrał go z rąk moich, złożył starannie, schował do szuflady, skrzywił się swoim zwyczajem i podawszy mi flegmatycznie kończynę usiadł przy biurku i wetknął nos w papiery. Patrzyłem z podziwieniem na jego łysy czerep, gdy ten stary niedojda mruknął:

— Tam już napisałem... Należy wziąć ciepłe spodnie i wełniane skarpetki. Wiadoma rzecz... mgły.. Miasto Hull nad morzem. Jeżeli brak panu pieniędzy, mogę pożyczyć trzysta franków bez procentu na trzy miesiące. Tak... Tylko na trzy miesiące.

Zrobiło mi się haniebnie głupio. Azaliż ja — myślałem—wziąwszy na się postać najzdolniejszego między chemikami, pojedę w wełnianych skarpetkach nad morze aż do miasta Hull? Czemu nie kogo innego spotyka takie zaszczytne wyróżnienie, taki los szczęśliwy? Bo to los! W pracowni Mundsleya, bez troski o jutrzejszy obiad i dzisiejsze przyszczyпки u butów, można pracować nie tylko nad zdobyciem nowych wiadomości, ale i zaspokajając hipotezy wydłubane ze swego własnego mózgu.

Ta chemia ma swoje psie figle... Skoro człowiek raz w to błoto wlezie, jeżeli jeszcze powącha spraw nie zbadanych a wiecznie nęcących, porywa go taka przecież szewska pasja odnajdywania nowych »prądzeń«, że gotów i o wełnianych skarpetkach mniej dokładnie pamiętać. A zresztą, mój Tatku, zobaczyć Anglię, jej prawdziwie wielki przemysł, te cuda cywilizacji, te kolosalne skoki ludzkiego geniuszu! Zabrałem się i wyszedłem. Posiedziałem na Stapferwego, a stamtąd, gnany niepokojeniem, ruszyłem na miasto. Zamiast wszakże zwołać publikę do Kropfa, gdzie tradycja surowo nakazuje oblewać wyjątkowe zdarzenia, puściłem się nad jezioro. Nie pamiętam, kiedy znalazłem się na drodze prowadzącej do Westmünster. Ciemna mgła kąpała się we wzburzonych falach: rude, obdarte, poszczerbione zbocza i upłazy gór

wynurzały się z niej kiedy niekiedy niby fantastyczne wyspy; żałośnie krakały mewy szybując nad samą wodą.

A więc jadę — myślałem — do ziemi Angielczyków ziemnowodnych, jadę nad morze, nad dalekie i nieznane morze... Nadaremnie tak długo łudziłem się nadzieją, że pojadę w inne strony, że po ośmiu latach inny zobaczą krajobraz. Nadaremnie w ciągu ostatnich trzech lat wysłałem tyle strzeliście rekomendowanych afektów do Łodzi, Zgierza i tym podobnych Pabianic, upraszając o posadę z płacą czterdzieści, trzydzieści — niech tam zresztą wszyscy diabli! — dwadzieścia pięć rubli miesięcznie. Na próżno wynosiłem pod niebiosa moje talenty chemiczne, cytowałem moje patenty, obiecywałem wynaleźć nowe środki drukowania perkalików. Skom promitowałem się tylko w oczach własnych i świętej nauki. Tam Żydkowie i Niemczykowie wszystko już wynaleźli, zatkali wszystkie miejsca i popychają wielki przemysł. Rozwiały się marzenia o tym, że Cię, mój Staruszk, *mit Pompe und Parade* zabiorę do siebie, że posprawiamy sobie nowe przyodziewki (samych butów kozłowych z cholewami po dwie pary na chłopca), że naznosimy tytoniu, cukru, herbaty, kiełbas — lichy wie zresztą czego, że się będziemy wieczorami jak ostatnie szewcy zgrywać w domino i świętej pamięci Kozików wspominać...

Kozików!... Czy też Ojciec pamięta ten wydmuch piaszczysty za naszym ogrodem, obrośnięty krzywymi sosnami i niską, szorstką trawą? Sam nie wiem, czemu tak lubię myśleć o tej dziurze.

Pamiętam raz... Po długich i tęgich mrozach, po ciężkiej zimie, nastał pierwszy dzień ciepły, prawie upalny. Był to jeden z pierwszych dni marca. Około południa obnażył się niespodziewanie ze śniegu szczyt owego wzgórza, wylał ze skorupy i zaczerniał nad białym widnokregiem jak garb potworny. Stałem wtedy w oknie i wydawałem lekcję korepetytorowi — pamięta go Tatko? Kudłatemu Kawicy. Coś mię kolnęło. Nie wiem, jakim sposobem wykręciłem się z lekcji, wypadłem na dwór, zwołałem psy folwarczne i »co koń skoczy« przez zagony, przez pastwisko, bez czapki!... Do dziś dnia mam w sercu tę chwilę, te uczucia, jakby to było wczoraj. Po igłach, gałęziach, po korze odziemków sosnowych spływały ogromne, brudne krople, ciężko kapały na zaspy i dziurawiły je na wskrós, każdy skostniały badył, każdy pniak, kamień, każde drzewo, każdy przedmiot wciągał w siebie, połykał wszystkimi porami promienie słońca i stawał się w mgnieniu oka ogniskiem ciepła. Dokoła drzew, krzaków, suchych łodyg chwastu, dookoła kamieni i kołków drążyły się w oczach ogromne jamy i ukazywał w nich jasny, wiotki piasek. Każde jego ziarenko, nasycone ciepłem, zdawało się żarzyć i płonąć, szerzyło na zmarzniętych towarzyszach radosny ogień. Ziarenka piasku parzyły śnieg ze spodu, drzewa i krzaki chlustały nań ciepłymi kroplami, przykopy i zagony zdawały się dźwigać zdławione grzbiety. Z dalekich pól szedł gęsty opar niby dym ciepły, magał się i przewalał nad równinami, a trząst i połyskiwał nad

wzgórzem.

Stado wróbli wygrzewało się na gałęziach suchej wierzby i ćwierkało jak na trwogę. Rozpuszczone jak u indyków ich skrzydła strzepywały z gałązek lód i osiędzieliznę, dzioby kuły niecierpliwie w próchno obwieszane soplami. Zdawało mi się wtedy, że całe to stadko śpiewa jedną pieśń dziwną i nigdy nie słyszaną, przejmującą do szpiku kości. I popłynęły nareszcie pierwsze wody wiosenne, bujne, nagłe, gwałtowne, jak łzy niespodziewanego szczęścia. Sączyły się bruzdami, żłobiły sobie głębokie łożyska w posiniałych kolejach wyrzniętych przez sanice, lały się po wierzchu śniegowej skorupy, z cicha, radośnie szemrząc. W naszym strumieniu woda wezbrała, powstawały wiry huczące, odślaniały się brzegi i spływała po nich, jak ropa, żółta, rzadka, rozmoczona glina. Pnie brzoź nadwodnych zanurzały się w rzekę i ssły korzeniami tę wodę żywą...

Wpadłem w szal: spuszczałem strumyki, ułatwiałem spadek wodospadom, kopałem kanały, stawiałem tamy... Cieszyłem się, w głębi serca, że skostniałym badyłom ciepło, że już żaden wróbel nie zmarznie, i wyciągałem po raz pierwszy w życiu dziecięce ramiona do tej wielkiej niewiadomej...

Czyż też to miejsce jest tam jeszcze? Pytanie godne głowy i pióra doktora Piotra Cedzyny. — Nieprawdaż? Ach tak!... Człowiek, któremu odejmą strzaskaną rękę, czuje ciągły ból w próżni równającej się długości ręki. Często budzę się po twardym śnie z tym nieujętym bólem w próżni. Oto przyjdzie nowa wiosna... Zobaczę ją w mgłach przydymionych sadzą fabryczną — a zarówno tam, jak tutaj będę niósł w sobie kły upiora, głęboko zapuszczone w duszę... I tak zawsze, bez końca.

Zapomniałem, o czym właściwie chciałem Ci pisać, mój Stary, mój Drogi Stary... Jestem sam na świecie i Ciebie mam tylko jak drugą połowę siebie, jak oddartą i niezmiernie daleko uwięzioną połowę duszy. Nie gniewaj się, że piszę rzeczy nieciekawe — piszę jakby do siebie... Gdym tedy stał nad brzegiem jeziora, było mi strasznie podle. Wielkie przezroczyste, jasnozielone fale biegły z jakiegoś nieznanego miejsca schowanego we mgle, trzepały się u brzegu, pękały rozplątane przez ostrza kamieni, a każda ześlizgując się w głębinę, zdało się wzdychać: »Jesteś jak mrówka wychowana w lesie, gdy ją na środek stawu wiatr zanieśe...»

Pan Dominik odrzuca list ze złością i podpartszy brodę pięściami siedzi nasrożony jak kania. Nie męczą go już teraz fantastyczne, bezprzedmiotowe rojenia, ale za to skupiają się i kojarzą logiczne, nie mniej przeto bolesne myśli. Czemu taki koniec wzięło życie? Gdzie przyczyna tych wszystkich wypadków? Dlaczego jedyny syn nic słucha ani próśb, ani zaklęć, ani przedstawień, ani rozkazów i zamiast się uniewinniać, pisze rzeczy sentymentalne i

niezrozumiały? Dlaczego nie powraca? Gdyby się tylko zjawił, przy protekcji, podeptawszy nieco, znalazłoby się dla niego doskonałe miejsce, posażną pannę... Dlaczego?

To rzecz jasna. Człowiek nie może żyć i pracować — odpowiada sobie pan Cedzyna — jeśli ktoś nie żył przed nim i nie pracował dla niego. Ten ktoś — któż to jest? — Ojciec. Przez urodzenie ojciec nie daje jeszcze synowi życia — daje tylko obietnicę życia, wychowanie poczyna je, a dziedzictwo dopiero zapewnia i uzupełnia. Tu jest źródło konieczności dziedziczenia w rodzie ludzkim. Ono jest węzłem, co spaja pokolenia umierające z rodzącymi się, wypływa z tego, co jest niezbędne we względzie potrzeby ciała, tworzy i uwiecznia rodzinę. Rodzina bez dziedzictwa jest stosunkiem niedorzecznym, bolesnym, jest męczarnią narzuconą człowiekowi przez Opatrzność... Taką klątwę my na sobie dźwigamy z Piotrusiem! Dzieciństwo dopiero jest znamieniem człowieczeństwa; przez nie, razem z owocami pracy, pozostawia synowi ojciec owoc swych wrażeń, pojęć, rozważań, odkryć i domysłów, wszystkiego, słowem, co mógł nabyć długoletnim doświadczeniem. Syn od punktu, w którym się ojciec zatrzymał, postępuje i sięga dalej na drodze bogactwa oraz inteligencji — a tym porządkiem praca przechodzi z rąk do rąk, gromadzi się, rozwija, opiera jedna na drugiej i formuje piedestał, na którym wznosi się coraz wyżej... cywilizacja. W rosnącym postępie społeczeństwa, jeżeli kto raz utraci wątek, już go niepodobna pochwycić — i jeżeli ojciec był niedołączonym w pracy, syn cierpi za winy nie popełnione, a nieszczęście z krwią się przekazuje. Dziedzictwo trzyma dzieci w obrębie progów domowych i zaspokaja ostatnią i dlatego może tak wielką i gwałtowną namiętność starości, namiętność obcowania z potomkami...

— Ja to wszystko straciłem — szepce pan Dominik ściskając sobie skronie — i straciłem na zawsze! Głos starości woła na mnie o ducha i krew, a ja jestem jak rzeźbiarz, od którego żądają w terminie skończonego posągu, podczas gdy on, prócz idealnego w duszy obrazu, nie ma ani garści gliny. Osiemnastoletniego wyrostka puściłem bez grosza, samopas za granicę... cóż dziwnego, że wyrósł na obcego mym wyobrażeniom, na nowożytnego człowieka? Czymże ja go przyciągnę? Miłością, śmiertelną tęsknotą?... Co nas łączy? Nazwisko chyba, które on po nowomodnemu lekceważy sobie. To nowoczesny człowiek: uczyni z sobą, co chce i jak chce.

Za moich czasów syn był w ręku ojca, słuchał go i czcił, nie miał prawa opuścić pod groźbą surowego wyroku naszych ludzi, nie zasmucił ojca, bo wisiało nad nim twarde i mocne, niepisane prawo. Teraz ono rozwiązane leży, odkąd zniknął nasz obyczaj szlachecki. Synowie nasi odeszli w świat... Szukają nowej prawdy. Śpieszą po twardym gościńcu, w skwarze i znużeniu — zdaje im się bowiem, że na najbliższym wzgórzu tej drogi leży nie tylko ten skarb, ale i szczęście ducha. Nas wstrzymywała w biegu mądrość rodzicielska, pokazując, że ta nadzieja czczym jest mamidłem. Ich nic nie wstrzyma, toteż w duszach

ich nie ma „miękkich włókien” czułości. Słabych i nikczemnych mieli ojców. Ach! wielka nasza wina!... ale czyż nasza tylko?

My, członkowie szeroko rozpostartej rodziny szlacheckiej, stanowiliśmy odrębną społeczność, byliśmy cennym zbożem, rosnącym na pocie tłumy jak na nawozie. Czy nie tworzyliśmy postępu, nie piastowali cywilizacji, nie rozwijali prawidłowo naszej myśli? Duch czasu wsiął nas w gminy, jakby ktoś ćwierć dorodnego żyta wsiął w pole nędznej wyki. Rozbiliśmy się na jednostki, zwyrodniali i zgoła znikli. Cóż z tego, że ja przystosowałem się, że poszedłem na służbę do pierwszego lepszego bękarta losu, do syna jakiegoś przekupnia, do parweniusza, który rozmaitymi protekcjami, stypen diami z lewej ręki, pokornym całowaniem mankietów doszedł do dyplomu inżyniera i możliwości zgarniania pieniędzy na torach kolejowych? Co z tego, że wyłamałem ze stawów moje harde myślenie z takim trudem, jak bym wyłamywał kości, że nauczyłem się zginać kark i pracować jak ostatni z moich niegdyś parobków? Co z tego, że zdławiwszy w sobie obrzydzenie wsiadłem na karuzelę pojęć nowoczesnych? Nie przestałem być sobą i nie zostałem mieszcuchem.

Co stokroć gorsza, nie rozumiem mego syna, nigdy nie będę jego przyjacielem, nigdy nie będę godnym jego współczucia, jego, co jest jedyną na całym szerokim świecie istotą z mojej krwi. I nic się już nie zdarzy w tym plugawym życiu, oprócz jednego wypadku godnego uwagi, oprócz śmierci. Piotruś pojedzie do Anglii. To znaczy, że gdy ja będę umierał, gdy ktoś litościwy wezwie go telegraficznie, on, przy największym pośpiechu, może przyjechać nazajutrz po moim pogrzebie. Po mojej nędznej śmierci... Nigdy już nie pomacam rękami jego włosów ani nie usłyszę głosu. Zapomniałem, jak on mówi, i nie mogę przypomnieć tego dźwięku. Ciągłe się w czyjejs mowie odzywa, krąży mi koło uszu i ciągle zawodzi. Nigdy nie obejmę oczami jego postaci, jego męskich, szerokich ramion. Taki był wtedy chuderlawy, mizerny tego wieczora, kiedym go odprowadzał nie przeczuwając, że na zawsze. Do końca będę nasłuchiwał, wyczekiwał jak głupi, do ostatniej minuty życia — nadaremnie.

W tej chwili stary szlachcic czuje znowu w sobie mroźne powiewy obawy.

— On zupełnie o mnie zapomni — szepce zbielełymi wargami. — Ani razu o mnie nie pomyśli... Ale co... nie pomyśli! On dobrowolnie, umyślnie zerwie, przestanie pisywać, zaprze się. Ogarną mu umysł jakieś wyobrażenia. Co to jest ojcostwo? — zada sobie pytanie jakiś filozof nowoczesny. Nagromadzi dowodów i wykaże z oczywistością nieodpartą, że ojcostwo to złudzenie uczuć, to pewien nawyk moralny, który dla takich a takich przyczyn wytrzebić by z dusz warto. Może nawet... o rozpaczy!... będzie miał słuszność! Nie będzie wcale podły ani głupi, tylko wykształcony. Nikt go za to nie skarże, nikt nawet nie obwini. Jakież jest na to prawo?

— Trzeba się ratować — mówi starzec załamując ręce.

Zimny pot spływa mu z czoła, serce uderza twardym, głośnym, powolnym tętnem. Za pomocą siły ducha, mocnej a cienkiej, jakiejs jaźni nagle skupionej i wyłamanej z głębi istoty moralnej, stara się zbadać swój rozum, podnieść go, wyćwiczyć i wyostrzyć do walki z sofizmatami syna.

— Ja cię nauczę, błaznie ja ci wytłumaczę, ja cię przekonam, że łżesz — mówi głuchym i twardym głosem.

Bolesny, natężony, bezowocny paroksyzm poznania podpowiada mu zdania cudaczne i plugawe. Starzec chwytą je i pomija, szuka innych i znowu tropi coraz nikczemniejsze myśli synowskie, zupełnie tak, jak ogar tropi ślady sarny podczas zamieci śniegowej, gdy wichur je zwiewa.

— Chemia ma swoje psie figle... Dlatego leci na koniec świata. Cóż znaczy stary jakiś dziad, któremu los odbierał po kolei wszystko, aż do ostatniej szmaty odzieży i ostatniego złudzenia.

Wszystkimi potęgami ojcowskiego serca klnie tę naukę. Jakaś umiejętność, coś, czego nie można ani zniweczyć, ani nawet nienawidzić — porwało chłopca jak śmierć.

— Oddaj mi go! — skamle — wypożycz na jeden dzień cały. Więcej nie chcę.

Gdzieś nieskończenie daleko, w zaspach śniegu rozlega się świst przelatującego pociągu, nagły, przeszywający jak wołanie na pomoc. Potem nastaje znowu cisza głęboka. Blask księżycowego; światła z wolna się przysuwa do łóżka starca, który zwinąwszy się w kłębek miota się, płacze w tym ciemnym kącie i mruczy monotonną, żalostną swoją skargę.

Pan Teodor Bijakowski (*vel Bijak*) ukończył Instytut Komunikacji w tym samym okresie, kiedy nieuniknione warunki ekonomiczne roztworzyły pugilares szepcząc: zagrabiaj, o piękny posągu!... Nie tylko tendencja pisarstwa śpiewała kantatę na cześć inżyniera i oświeślała jego postać ogniami bengalskimi, ale jeszcze, na domiar szczęścia, panny mądre, które, jak wiadomo, najsprytniej umieją zwąchać ducha czasu, zapaliły zniecka lampy swe, odstąpiły łona łabędzie i czuwając oczekiwały na kołatanie pozytywnego oblubieńca. Pan Teodor zrozumiał jeszcze dokładniej niż panny ducha czasu i postanowił ożenić się odpowiednio. Bywał tedy w domu bogatego warszawskiego powroźnika, którego urocza córka pielęgnowała w pamięci swej kilka pierwszych stronic z dzieła Buckle'a.

Pan Teodor urodził się w mieście Warszawie, bodaj że na Krochmalnej ulicy, gdzie ojciec jego skromny, ubogi, ale chędogi szynczek narożny utrzymywał. W

latach pacholących bawił się mały Teoś wraz z czeredą młodszego i starszego rodzeństwa, że tak powiem, w rynsztoku, wybijał szyby sąsiadom starozakonnym i byłby był pozostał na zawsze w stanie barbarzyństwa, gdyby nie jedna szczęśliwa okoliczność. Oto właścicielka domostwa, gdzie mieścił się instytut starego Bijaka, dama draśnięta zrębem czasu i przedziwnie uczuciowa, dostała pewnego pięknego poranku celny strzał z procy naciągniętej ręką małego urwipółcia. Kamień utkwiał w samym koku i przyprawił podstarzałą pannę o kilka dni płaczu i cierpień moralnych.

Rozkazała przywołać do siebie Teosia, patrzyła nań długo, a wreszcie rzekła:

— Pójdź, dziecię, ja cię uczyć każę.

Chłopiec był nadspodziewanie zdolny, w lot naukę w sztubie pochłonął i w sekrecie nawet przed zapijającym wszelkie sprawy Bijakiem-seniorem zdał do gimnazjum. I tam szedł z nagrodami z klasy do klasy, cicho a skromnie. Opiekunce na imieniny pisał laurki, całował kolana i ręce, a po jej śmierci musiał, sierotka, wiele nacałować mankietów, nim wreszcie zdał do Szkoły Głównej, ukończył wydział matematyczny i przy pomocy tych i tamtych dostał się do Instytutu.

Wszystko to gładko mu poszło. Nie będę opiewał wszystkich jego promocyj, przygód, zachodów, zmian sposobów myślenia i miejsc pobytu — dość będzie, gdy powiem, że budował wiele pięknych mostów, dużych dworców, wielką ilość dystansów i że, nim upłynęło lat dziesięć od ukończenia studiów, posąg nasz miał już kilkadziesiąt tysięcy rubli ulokowanych bezpiecznie i świetnie. Do posad przy eksploatacji nie kwapił się, wolał zawsze trzymać z grubymi rybami i asystować przy budowie dróg nowych. Pieniądze płynęły do jego kieszeni szerokim łożyskiem: drobna niejednokrotnie usługa, słówko zgrabnie pochlebne, dzielna, niewinna na pozór operacyjka, co więcej, szczęśliwy dowcip warszawski — napełniały na nowo pugilares, po jakiejś inżynierskiej bachanalijce chwilowo opróżniony. Nie mówię o rezultatach głęboko i systematycznie obmyślanych planów działania.

...Wśród uśmiechów losu inżynier nasz, wyznać trzeba, nie zapomniał o ubogiej rodzinie z Krochmalnej ulicy. Prowadzał za sobą kohortę nie tylko braci, ale bliższych i dalszych kuzynów, z których każdy już po tygodniu operowania pod okiem dobroczyńcy chadzał przy zegarku i rujnował się na modne haweloki. Na południowym wybrzeżu Krymu pan Teodor posiadał wytworną willę, gdzie królowała pięknie rozkwitła małżonka jego, czytelniczka niegdyś Buckle'ów i Millów. Cudownie tam było: w oddali falował morze, dokoła rozścielał się las podzwrotnikowych krzewów. Zdawało się, że pan Teodor do końca życia będzie sobie w wolnych chwilach odczytywał to tę, to inną stronicę *Dekameronu* (mądre bowiem księgi rozdał na pamiątkę niewyspanym telegrafistom), gdy oto

niespodziewanie zjawił się demon niepokoju...

...Wówczas właśnie poczęto w kraju budować drogę żelazną. — Pan Teodor zjawił się i wziął nowy dystans.

Zaraz po objęciu robót przyplątał się do niego zrujnowany do szczytu obywatel ziemski, Dominik Cedzyna. Początkowo pełnił na budującej się plancie obowiązki zwyczajnego dozorca, poganiacza ludzkiego stada, później zaskarbił sobie względy naszego przedsiębiorcy i do innych celów użytym został. Dziwnie wyglądał ten elegancki, wyprostowany starzec z mina pana, zawsze wytwornie i czysto ubrany, gładko uczesany i wygolony starannie, kiedy stał w pobliżu drzwi wobec Bijakowskiego rozwalonego niedbale na krześle. Inżynier doświadczał demokratycznej rozkoszy trzymając przy drzwiach byłego panka i mówiąc do niego: „pójdiesz mi, mój panie Cedzyna...” albo: „tyle już razy mówiłem panu Cedzynie...”, „trzeba być mazgajem, panie ten... panie Cedzyna”.

Twarz starego szlachcica nie zdradzała nigdy ani Siadu gniewu, ani cienia obrazy, ani pozoru zdziwienia. Czasami tylko po zaciętych jego wargach przemykał się tęskny, dziecięcy niemal uśmiech, czasami wypłowiące oczy zachodziły mgłą jeszcze bardziej i zdawały się nic nie widzieć. Nigdy wszak że żrące go upokorzenie nie wynurzało się na zewnątrz w dźwięku mowy lub treści słów.

„To także honor, to punkt honoru — myślał. — Ja i tak pan, a tyś i tak cham!...”

Miał ten człowiek jedną tylko pociechę i nadzieję. Skoro nadchodził wieczór, gdy robotnicy, złani do suchej nitki potem, rzucali łopaty i zjadłszy stawę padali w *sen* kamienny, gdy panowie inżynierowie zasiadali do winta — Cedzyna szedł wzdłuż plantu do sąsiedniego miasteczka.

Głowa jego podnosiła się wtedy dumnie, oczy nabierały blasku, usta szeptały: „Piotruś... och, Piotruś”.

Pukał do okna poczmistrza i ugrzecznionym, bojaźliwym głosem pytał, czy nie ma listu do Dominika Cedzyny. Jeżeli ten list upragniony otrzymał, oddawał się szybko, pieszcząc kopertę palcami i do warg ją przytulając. Potem w swej nędznej izdebce stawiał świecę przy łóżku i zaczynał czytać. Czytał powoli, w sposób dziwaczny: nie przebiegał oczyma od razu całego listu, lecz wykradał jedno, dwa zdania, kilka słów — i składał pismo. Czasami koniec listu odczytywał dopiero trzeciego dnia po otrzymaniu. Gdy mu dokuczano, gdy go obrażano, gdy czuł, że mu kłatkę piersiową coś gnieść zaczyna niby obręcz żelazna i krew uderza do głowy — macał boczną kieszeń surduta, gdzie nosił paczkę listów od syna — i odzyskiwał spokój. W każdej chwili wytchnienia, podczas obiadu czy chwilowej przerwy w robocie, wydobywał arkusik i wmyślał

się w jakieś zwyczajne zdanie. Wtedy uśmiech łagodny jak promyk słońca wypogadzał jego twarz drewnianą i skrzepłą na niej troskę niweczył.

W odległości wiorsty od dźwigającego się nasypu, stanowiącego część dystansu pana Teodora, sterczało pośród pól wyniosłe wzgórze, porośnięte jałowcem i uwieńczone szarym zębatym grzbietem skał wapiennych. Góra należała do folwarku Zapłocie, a folwark do niejakiego pana Juliusza Polichnowicza. Inżynier zwrócił uwagę na owo wzgórze zaraz po rozpoczęciu robót, zbadał skały, znalazł w nich obfitość węglanu wapna i niewielką ilość obcych przymieszek, dostrzegł, że zbocza i osypiska wykazują piękne pokłady wyborowej gliny — toteż w kilka dni po przyjeździe zabrał ze sobą pana Cedzynę i pojechał do folwarku Polichnowicza.

Zmierzch zapadł, kiedy furmanka zbliżała się do Zapłocia. Folwark stał u samego podnóża góry. Zabudowania otaczał szeroki czworobok usychających topól. Budynki były w stanie opłakanym: waliła się w gruzy stara gorzelnia i wyciągała ku niebu obdarte z poszycia krokwie jak kościotrupie piszczele, nachylały się ku ziemi dachy stodół, tu i ówdzie sterczały żerdzie rozwalonych płotów. Kamienista droga, urozmaicona zatrważającymi wyrwami, mijała pewien rodzaj bramy i prowadziła przez dwór. Ogromny czarny dach domostwa zjeżdżał ze ścian w tył i jednym swoim krańcem dosięgał prawie ziemi.

Kiedy wasąg naszych przedsiębiorców zatrzymał się przed gankiem, w dwu oknach błyszczało światło. Jakaś figura zjawiała się we drzwiach.

— Czy to ty, Szulim? — zapytał głośno stojący na progu.

— Nie, to nie Szulim — odpowiedział Bijakowski. — Czy dziedzic jest w domu?

— Któż tam, u diabła?

— Czy dziedzic tutejszy jest w domu?

— Dziedzic?

— Można się z nim widzieć?

Osoba znikła i jednocześnie prawie światło w oknach zgasto. Wędrowcy nasi wstąpili na ganek, lecz znaleźli drzwi zamknięte. Bijakowski zastukał. Żadnej odpowiedzi.

— Dziwna rzecz — zauważył pan Dominik.

Inżynier zszedł z ganku i zajrzał za węgł dworu szukając innego wejścia. Musiały tam być jakieś drzwi, biegano bowiem tamtędy, białe postacie wsuwały

się do dworu i wymykały do ogrodu, dźwigając jakieś ciężkie przedmioty, coś w rodzaju szaf, luster, kanap, stołów, łóżek, obrazów.

— Nadzwyczajny dom — mówił do siebie zaciekawiony do żywego *bourgeois*. — Ten obywatel wyprowadza się widocznie, czy co u licha?... o tej porze... panie Cedzyna...

Pan Dominik pokiwał melancholijnie głową i cicho westchnął.

Spomiędzy pokrzyw i kęp bzu wysunęła się wreszcie jakaś babina, podeszła do Bijakowskiego i bezczelnie zaglądała mu w oczy.

— Coście to za jedni, ludzie? Skądęście?

— Jesteśmy z kolei, chcemy rozmówić się z tutejszym panem — mówił do niej pan Cedzyna. — Mamy do pana interes. Chcemy od niego kupić kamień... Słyszysz? Jest ten wasz pan? Można go widzieć?

— Pana niby? — namyślała się baba.

— Naturalnie, że nie ciebie...

W tej chwili wynurzył się z mroku cień inny.

— Panowie kolejarze... acha... Proszę, bardzo proszę... Maryna, rypaj zapalić lampę. Każ wnosić na powrót. Proszę panów... Jestem Polichnowicz.

Drzwi prowadzące z ganku do sieni otwały się znowu i przybysze wprowadzeni zostali do obszernego pokoju o bardzo niskiej powale. Stało tam mnóstwo mebli i sprzętów w szczególniejszym ugru powaniu: komoda wysunięta była na środek pokoju, na niej leżało kilka obrazów w grubych, złoconych ramach i lustro, stół zarzucony był stosem rzemieni, uzd, batów, szpicrut, popręgów, torb myśliwskich z przyborami do polowania; roztwarty kufer odsłaniał wewnątrz pełne brudnej bielizny i zniszczonej odzieży. Na łóżku okrytym podartą kołdrą spoczywało olbrzymie psisko z rodziny dogów, a na wygniecionej kanapie spał malutki kudłaty piesek. Gospodarz usiłował za pomocą forsownego wykręcania knota wydobyć z zakopconej lampki większy płomień. Był to młody człowiek, lat około trzydziestu, nieco przygarbiony, o twarzy wywiędłej i zużytej.

— Siadajcie, panowie — mówił rzucając z krzesłek na ziemię porozmiotane części męskiego odzienia i przysuwając gościom kulawe krzesła. — U mnie to cokolwiek po kawalersku, ale bo to z tymi sekwestраторami... Fintik! won, podlecuc!...

Kudłaty piesek podniósł łeb niechętnie i machając ogonem zsunął się na

podłogę.

— Proszę pana — zaczął Bijakowski — taki jest nasz interes: Do pana należy góra w pobliżu której prowadzimy plant kolejowy?

— Góra? „Świńska krzywda”? No, do mnie należy... i cóż z tego?

— Pan z niej żadnego zysku nie ciągnie?

— Jakiż ja zysk mogę ciągnąć z takiej góry Kpisz pan czy co?

— Pastwisko pewne — wtrącił pan Cedzyna nieśmiało

— Jakie pastwisko! — oburzył się Polichnowicz. — Kamień na kamieniu i trochę jałowcu. Miejsce ustępowe dla trznadli... chciałeś pan chyba powiedzieć. Ale co panom znowu do tej góry?. Fintik! won, podlecu! — Piesek zeskoczył znowu z kanapy, na którą się był wdrapał.

— Krótko mówiąc — ciągnął inżynier — ja bym kupił od pana kamień z tej góry i prawo wybierania gliny. Czy zgadza się pan?

— Kamień? A prawda... Owszem, panie dobrodzieju, z największą przyjemnością.

— I co by też pan żądał?

Polichnowicz zaczął kręcić w palcach papierosa, założywszy nogę na nogę w taki sposób, że końcem śpiczastego buta dotykał prawie swego nosa. Milczał. Dopiero gdy załatwił proces umieszczania papierosa w cygarnicy i otoczył się kłębamii dymu. wypalił śmiało:

— Odstąpię panu za osiemset rubli. Bijakowski zaśmiał się krzykliwie:

Siedemset rubli!... bagatela! I to za miejsce ustępowe dla trznadli... Cha!... cha!... wie pan, co...

— Nie siedemset, lecz osiemset rubli! Mów pan, co dajesz! Nie lubię, gdy mi się ktoś w nos śmieje! Fintik! wyrzucę cię za drzwi, kpie jeden, i tyle u mnie zarobisz...

Piesek znowu zlaźł z kanapy. Bijakowski spowaźniał i nadał się.

— Pan sądzisz, że masz z frajerem do czynienia — mówił młody obywatel przymrużając lewe oko. — Ja, panie, jestem dublańczyk i wiem, co jest warta taka glinka zmieszana z pewną ilością piasku, bynajmniej nie tłusta... Znajdź pan tu w okolicy taką glinkę i taki kamień.

— Kto wie?... może i znajde — powiedział inżynier wstając i zabierając się do wyjścia.

— No... cóż pan dajesz? Niech słyszę.

— W każdym razie nie więcej jak sto rubli.

Pan Polichnowicz wpadł w głęboką zadumę.

— Dawaj pan na rękę dwieście rubli... i niech tam diabli!...

— Nie, panie — rzekł zimno Bijakowski.

— No, to trudno... Dajesz pan sto pięćdziesiąt? Inżynier śmiał się pod wąsem ironicznie.

— Spiszemy kontrakcik... co tam!... Może herbaty?

— Ajno, herbaty! — odezwał się niespodziewanie głos z sąsiedniego pokoju. — Pan będzie częstował, a ja nie wiem, skąd panu wezmę tej herbaty. Widzicie!

— Milczeć, małpo jedna! — rzekł Polichnowicz wcale nie odwracając głowy. — Może panowie kwaśnego mleka z kartoflami?...

— Nie, dziękujemy. Sto rubelków płacę, piszemy umowę na dwie ręce... jest świadek, pan Cedzyna...

— Pan Cedzyna! — zawołał młody człowiek obrzucając gościa ognistym spojrzeniem — pan Cedzyna z Kozikowa?

— Tak, niegdyś...

— Cóż znowu? Już pana wyleli? Cha, cha!... To dopiero pogrom na ziemiaństwo. Koleje pan dobrodziej teraz budujesz?...

— Pracuję — odpowiedział skromnie pan Dominik.

— Phy!... A no, cóż robić!... Piszemy ten kontrakt. Będzie przynajmniej co wsadzić jutro w zęby panom starozakonnym.

Spisano kontrakt — i późno w noc przedsiębiorcy opuścili folwark.

Po upływie kilkunastu dni u podnóża góry funkcjonowała maszyna do wyrabiania cegły, a na skałach roiły się ludzkie postacie. Inżynier zjawiał się na szczycie góry i rozciągający się u stóp jej obszar ciekawym i zamyślonym obejmował okiem.

Był koniec sierpnia, czas orki. Na polach Polichnowicza panował zupełny spokój. Bijakowski nie znał się na gospodarce rolnej, z mazołem odróżniał pszenicę od jęczmienia w kłosie, zastanawiała go wszakże szczególna predylekcja dziedzica Zapłocia do ugorów. Te długie, szare smugi gruntu, pokarbowanego niegdyś przez równe zagony, sprawiały wrażenie smutne jak cementarz. Gdzieniegdzie jednostajną barwę odłogu przerywało półko ścierniska albo kartofli — za nimi ukazywał się on znowu i ginął aż w oddali, jednocząc się z nieużytkami i pastwiskiem.

Młody dziedzic przychodził codziennie na górę, siadał na kamieniu, ćmił papierosa za papierosem i gawędził.

— Pański folwark — mówił do niego Bijakowski pewnego razu — widziany z tej góry, podobny jest do trupa.

— Dobrze, dobrze... Do trupa! Wziąłem po ojcu folwark źle prowadzony, musiałem zaprowadzić płodozmian umiejętny...

— Płodozmian? Gdzież tu i jakie płody pan zmieniasz? Tu żadnych płodów wcale nie ma.

— Jak to nie ma?

— Nie znam się na tym, ale nie widzę ani żyta...

— A bobik?

— Co za bobik?

— No i bierzesz się pan do krytykowania! Widzisz pan ten pas zielony?

— Cóż panu przyjdzie z pasa zielonego albo i z samego tam bobiku? Żyta nie widzę.

— A tamto ściernisko to po czymże... po kapuście z baraniną?

— Ależ to chłop przecie dwa razy więcej żyta wysiewa!

— Bo chłop niszczy glebę, sieje żyto po życie...

Chłopu pan pozwól tylko, to panu na placu Teatralnym „zimioków” nasadzi, ale wcale 7. tego nie wynika, abyśmy mieli, idąc za jego przykładem, wyniszczać grunta. Tu rzeczywiście trzeba trochę mieć kapitału...

Nie pamiętam dokładnie, jak się to stało, dość że nadeszła ta chwila. Gdy pierwsze lokomotywy świstać poczęły na nowej drodze żelaznej, Jules

Polichnowicz wyjeżdżał z Zapłocia, unosząc w podróżnym saku kilka setek rubli. Folwark z ugorami, pustymi stodołami i litanią długów stał się własnością inżyniera Bijakowskiego. Nowy dziedzic przez czas pewien spoglądał z rozkoszą na pochylone pola, zapadający się w ziemię dwór staroszlachecki i wysokie topole z uschniętymi szczytami. „Własny majątek! Stare domostwo — marzył — przeznaczony dla rządcy; na wzgórzu, frontem do plantu, wzniesie skromny, ale stylowy pałacyk”. Zbyt długo wszakże inżynier nasz był człowiekiem praktycznym, aby idealne marzenie o pałacyku usunąć mogło na plan drugi myśl o ugorach.

Co począć z tymi ugorami? Czyliż doprawdy osiąść w takim Zapłociu i zacząć uzbierane pieniądze „wkładać” w bruzdy, stodoły, owczarnie? Jeździć co niedziela z rodziną do wiejskiego kościółka, zasługiwać się Panu Bogu, aby żyta gradem nie wybijał i strzegł od podpalacza?

Przyjechać na lato do siedziby wiejskiej, obserwować z małżonką zachody słońca, uganiać się (wraz z tąż małżonką) po pachnących łąkach za różnobarwnymi motylami, czytać Giovanni Boccaccia w cieniu lip odwiecznych, nawet kiełbie łowić na wędkę w strumieniu — słodkie to są przyjemności, ani słowa; ale siedzieć tu zimą i łypać oczami na przebiegające pociągi — to co najmniej nierozsądek.

Zupełnie inne uczucia miotają duszą pana Dominika Cedzyny. Nabycie przez inżyniera folwarku dało mu nadzieję otrzymania posady rządcy, powrotu na wieś, do roli, rozporządzania się, jak tego dusza pragnie, mieszkania pod strzechą starego dworu. Toteż zasługiwanie się jego Bijakowskiemu, posłuszeństwo i niemiłosierna pilność przechodziły wszelkie granice.

„Ten pan inżynier wie dobrze — myślał stary szlachcic — co wart jest pan Cedzyna. Wie, że to nie dorobkiewicz goniący za zyskiem; wie, że taki Cedzyna zdechnie z głodu, a nic ruszy tego, co należy do dziedzica; że wypruje ze siebie żyły dla tego, komu służy, bo to jest człowiek posiadający nie znany dzisiejszym ludziom przymiot, śmieszny maleńki przymiot staroszlachecki — honor”.

Nie spełniły się nadzieje pana Dominika.

Zjawili się „indywidualiści” i zaproponowali inżynierowi rozparcelowanie folwarku. Po głębokim namyśle, po spłaceniu długów — Bijakowski rozsprzedał ugory pozostawiając sobie zabudowania, skalistą górę i mały skraweczek ornego gruntu poza ogrodem.

Do niepoznania zmieniła się postać tego kawałka ziemi. Kudłaci indywidualiści zwlekli się wkrótce na pola folwarku wraz z żonami, dziećmi, sprzężajem i dobytkiem. Chude szkapy osadników ciągnęły z lasu belki i gonty, koła wozów

żłobiły nowe drogi wzdłuż dzikich miedz; wybierano studnie, grodzono płoty i na gwałt wznoszono domostwa. Po całych dniach słyhać było łoskot siekier. Kwaśne pastwiska, porośnięte nędzną, kędzierzawą trawką, które, historycznie rzecz biorąc, od czasów kołodzieja Piasta aż do dublańczyka Polichnowicza służyły tylko za miejsce igrzysk i spacerów dla bystronogich zajęcy, pustki podleśne i obumarłe ugory nabrały teraz tak wielkiej wartości, że się stały częścią składową wielu istnień ludzkich. Liczne oczy wpatrywały się w te kawałki ziemi z niepokojem i serca osnuwały na nich nadzieje.

Gdy nadeszła wiosna, wyszły na ugory pługi i odwróciły skiby przerośnięte murawą...

Gdy nadeszła wiosna, u podnóża góry, noszącej w mowie gminu nazwę „Świńskiej krzywdy”, buchały wielkie kłęby dymu. Przyparty do zbocza góry olbrzymi cylinder szachtowego wapiennika wyrzucał w mokre mgły snopy iskier. Długa, nad przepaścią zawieszona ława łączyła okopcony szczyt komina z podnóżem białych turniczek. O kilkaset kroków dalej, bliżej dworu, wznosił się wysmukły, czerwony komin cegielni.

Smugi dymu, płynącego po przestworzu niebieskim, wywabiły z dalekich wiosek, w lasach ukrytych, gromadę bezspodniowców z zapadniętymi brzuchami i wydłużonym przewodem pokarmowym wskutek bezwstydnego przeładowania go samymi kartoflami. Przyszli i stanęli przed obliczem twórcy cywilizacji. Inżynier wejrzał okiem mędrca na ich wywiędłe kadłuby, na brudem obroście ich dzieci, na znikome resztki spódnic ich żon, córek, kochanek — i miłosiernie wyznaczył im miejsce w postępie ludzkości.

Ze zrzynów od belek pobudowano lokale mieszkalne w miejscach przez inżyniera wskazanych i poumieszczano tam przybyłych. Zwierzchnictwo nad całą produkcją objął pan Dominik Cedzyna, osadzony w dwu mieszkalnych izbach dworu. Inżynier opuścił dziedzictwo i udał się tam, dokąd powoływały go nieuniknione warunki ekonomiczne. Przed wyjazdem nauczył starego szlachcica, jak się ma zapatrywać na sprawy społeczne, gdzie zakładać kopalnie gliny, jak zsypywać do pieca bryły kamienia i formować z nich sklepienie, jak poznawać po mocnym świetle wapna, że kwas węglany wypędzony z tych brył został, jak unikać tworzenia się wilków jak normować płomienie wchodzące do pieca z oddzielnych ognisk — itd.

I popłynęły jednostajne, równe i bardzo długie dni rzetelnej pracy. Nadzorca wstawał o świcie, budził i prowadził do roboty czeladkę, a późna noc przypędzała go dopiero do starej rudery.

Odwieczne kamienie jęczały pod młotami, waliły się całe urwiska niestrudzonymi uderzeniami podkopywane, zlatywały ze szczytów i kruszyły się

na drobne cząstki ogromne bryły, podważone wysiłkiem ramion. Głębokie miejsca wszczepiania i oparcia żelaznych drągów, żłoby i garby, wykute dziobem ciężkiego kilofa, pozostały na zawsze, świadcząc, ile tam człowiek włożył siły mięśniowej. Za pomocą dwu dźwigni — drąga i oskarda — zepchnięto z posad całe skały, zdruzgotano kolosalne formacje. Braki narzędzia zastąpił prostacki „sposób” na przyrodę, wymysł nie mózgu, ale raczej mięśni. Codziennie o świcie zaczynało się to spotkanie siepaczy z kamiennymi masami, które, nim uległy zuchwałej napaści człowieka, mściły się na nim, czyhały na każdą chwilę jego nieuwagi, na każdy moment omdlenia. Nawisłe złomy, gdy rozpętano nieopatrznie ich utajoną energię, zlatywały niespodziewanie jak uderzenie pioruna, zabijając i kalecząc; każdy głąz, zanim wtrącony został w czeluść pieca, do ostatka ranił, gniótł, karał ciężarem, twardością, ostrą powierzchnią, parzył ogniem i dusił dymem, jak wróg śmiertelny wyżerający życie.

Bezkształtne obnażenia warstw głębokich i ułamane wierzchołki stoją na tym poboju jak płyty grobowe i jak sarkofagi. Szarugi jesienne i wichry zimowe wyłabiają na ich powierzchniach tajemnicze znaki — może imiona „rycerzy kultury”, co tam poległ w boju z przyrodą.

Pan Dominik zasnął dopiero nad ranem. Nie był to posilny odpoczynek, lecz starcze półczuwanie. Zjadliwa, błędna boleść nie usunęła się, nie ukoїła, lecz jak topór kata, ciężka i nieujęta, wisiała w postaci snu nad znękaną jego duszą. Śnił mu się, że stoi na rozmiętej grobli, u brzegu zamarznętego stawu. Lód na nim był siny, kruchy i nasiąkły wodą. Nagle zobaczył idącą ku niemu z przeciwnego końca stawu postać omgloną. Widmo szło, lekko się kołysząc, zgrabne zataczało koła, ledwo-ledwo dotykając stopami gładkiej powierzchni. I oto — w mgnieniu oka — zobaczył tuż przy brzegu, prawie u stóp swoich, falę zwijającą się ogromnym kłębem, lód popękany na drobną krę, a na wodzie rozmoczone, jasne jak len włosy. Cudne kędziory młodzieńcze to rozbiegały się na wodzie, tworząc jakby koronę, to lgnęły kosmykami do czoła, do jasnego czoła Piotrusia. Starzec usiłuje krzyczeć, ale gardło ma ściśnięte i zatkane jakby skrzepami zsiadłej krwi; chce rzucić się w wodę, lecz, nie wiedzieć czemu, nie może jej dosięgnąć. Zanurza wreszcie ręce po łokcie i czuje zimno, ścinające, okropne, śmiertelne zimno w żyłach, w piersiach i w sercu. Gdyby mógł wydać jęk, jeden tylko jęk, jeden okrzyk... Gdyby chociaż mógł westchnąć...

Brzask zimowego świtu ubielił zamarznęte szyby. Dał się słyszeć łoskot drzwi roztwieranych w czworakach, odgłosy skrzypiącego stąpania po zamarznętym śniegu i rozmów ludzkich. Pan Cedzyna ocknął się i ciężkim wzrokiem powiódł po swej izbie. Małeńka miara pociechy spłynęła do jego duszy, gdy się uświadomił, że to, co widział przed chwilą, snem tylko było. Niestety! to, co czuł przed chwilą, ciągle trwało. Prędseńskie zgryzoty rzuciły się nań znowu i jak mściwe, rozzłoszczone pszczoły wciąż poczęły jego serce. Obejmowała go

złowieszcza niechęć do tej izby, do nadchodzącego dnia, może do siebie wreszcie.

Na pół rozebrany usiadł na łóżku i tępym, bezsilnym wzrokiem patrzył w kąt pokoju. Niedosłyszalnie dla samego siebie, zaledwie ruchem warg — wymówił:

— Żeby to już raz, do cholery... umrzeć— Rozległo się stukanie w szybę, jakim jeden z ro-

botników pełniący obowiązki stróża dawał znać nadzorcy, że idzie z naręczem drew palić w piecu. Pan Dominik nie poruszył się. Dziki wstręt i bezmyślne nienawiść zaciskały jego pięści. Wszystkie jego inteligencja osiadła na jednej trzeźwej myśli:

— Żeby to już raz...

Stukanie w szybę powtórzyło się i nieznany głos zawołał:

— Czy pan Dominik Cedzyna jest w domu? Stary zerwał się na równe nogi. Wszystko jedno kto to stuka — byleby ktoś obcy, jakiś człowiek nieznany, byleby nie ten parobek w cuchnącym kożuchu.

— Panie Cedzyna! — zawołał ktoś zza okna. Wszystkie krew spłynęła nagle do serca starowiny.

Pośpiesznie wciągnął długie buty, zarzucił na ramiona lisiurę i pobiegłszy na palcach do okna zaczął chuchać na szybę i wycierać w szronie otwór okrągły. Naraz przerwał tę czynność i raptownie odwrócił się do ściany. Zgiął się w pałąk, oczy mu zasły bielmem, twarz skurczyła się boleśnie, ręce zacisnęły spazmatycznie — i mówił, nie wiedząc do kogo, cichym równym głosem:

— Jeżeli tam, za oknem, jest Piotruś, to ja oddam... — ty wiesz, że ja nie skłamię... ja ci oddam...

Raz jeszcze mocno, mocno ścisnął sobie ręce i spokojnie poszedł ku drzwiom. Odrzucił haczyk i wyszedł do sieni, szeroko otworzył drzwi na ganek i stanął w progu. Na ścieżce stał miody człowiek w krótkim palcie, z walizką podrózną w rękę. W niebieskim mroku przedświt stary nie mógł rozpoznać rysów jego twarzy, ale tamten posunął się o krok naprzód i wymówił cicho, z niewypowiedzianą słodyczą:

— To chyba ojciec.

Stary Cedzyna głucho szlochając wyciągnął ramiona i ogarnął przychodnia długą, czulą i nienasyconą pieśczętą ojcowską.

Potem zaczął go forsownie ciągnąć do pokoju, bełkocząc pojedyncze sylaby wyrazów urywanych i połączonych razem ze łzami. Wydarł mu z rąk walizkę, rozpiął palto, wystawił ze szafy na stół wszystkie butelki z octem, z naftą, z terpentyną i gorzałką, szukał kieliszka w stosie rzemieni i żelastwa leżącego w kącie izby i ciągle dygocącymi ustami mruzczał:

— Pisał... do Anglii... do miasta...

Doktor Piotr wodził za starcem załzawionymi oczyma i nie mógł przyjść do słowa. Nareszcie pan Dominik oprzytomniał.

— Zziąbłeś... co? — zapytał nakrywając oczy dłonią, jakby patrzył pod słońce.

— Nie...

— Ale! gadanie! Zaraz ja w piecu napalę.

Skoczył ku zapieckowi i począł wyrzucać suche drwa na środek pokoju. Zaczerwieniony i zziębnięty kładł je później do pieca.

— Niech ojciec da spokój — przerwał mu młody doktor — tu ciepło. Ja bym się, szczerze mówiąc, przespał trochę.

— Święta prawda! Niespodziewany cymbał ze mnie starego! Malec jechał tyli świat. Chodź, przyniesiemy sofę... mam jeszcze naszą zieloną sofę... wiesz... zieloną...

Weszli do sąsiedniej, zimnej izby, zawałonej przeróżnymi statkami i rupieciami, i przydźwigali do pierwszej starożytną, familijną sofę z wierzchem ruchomym.

Pan Dominik rozpostarł na niej swoją pościel, i ułożył syna do snu. Sam, zabawnie wykręcając nogi, aby stąpać na palcach, wyniósł się z mieszkania.

Zaledwie doktor Piotr przyłożył głowę do poduszki, zapadł w senne marzenie, jakie jest skutkiem zmęczenia się długotrwałą jazdą w wagonie. Powieki mu się kleiły, ale nie dawał mu zasnąć mocno jakby nieustający trzask dzwoneczków elektrycznych, utajony w nerwach. Na niezliczonej ilości stacji kolejowych dzwoneczki te biły za szybami wagonu głosem cichym, przeszywającym, natarczywym i okrutnym, aż zaczęły dzwonić w uchu bez przerwy. Zdawało mu się, że wciąż trwa jeszcze ostatnia, a trzecia z rzędu noc spędzona w wagonie. Drzemie nie pod strzechą ojcowską, lecz w wąskim przedziale, z głową opartą o drżącą drewnianą ścianę. Słyszy jeszcze łoskot kół bijących w końce szyn, skróconych od mrozu, gdy pociąg gnał na północ od Oderberga i to ponure dudnienie skostniałej ziemi, co głucho stęka pod szynami: — to ja, to ja, to ja... Widzi do tej chwili pod przymkniętymi powiekami nagi, rozłożysty, nieobeszły

krajobraz, jak go zobaczył wtedy, przycisnąwszy twarz do szyby — tę pustynię przywaloną zaspami. Daleko, w wielkim świetle księżycy słabo czernieją chłopskie chałupy. Długim szeregiem stoją na widnokręgu — het — het... W piersi wędrowca bije nie jego własne męskie serce, co już złudzeń przeboleło tyle, ale serce dziecka, dostępne dla dawno minionych trwóg i boleści. Jak kolka tarniny przebija je dziecięcy żal czy wielka skrucha, i wylękłe usta szepcą:

— Panie, nie jestem godzien...

Pan Dominik powrócił na paluszkach, niosąc wiązkę suchych szczap, i począł palić w piecu. Doktor jak przez mgłę widział jego zgarbione plecy i siwą, krótko przystrzyżoną czuprynę. Chwilami wydawało mu się, że ta droga głowa usuwa się i niknie, pozostawiając po sobie tylko duży cień przełamany na ścianie i suficie. Morzył go przerywający się, płochliwy sen... Kiedy się na pół przebudził, przed piecem siedział, jak poprzednio, starzec twarzą zwrócony do ognia. W pobliżu drzwiczek tliła się już zaledwie kupka węgla. Wiotka, jasnofioletowa perzyna powlekała ją z wolna, a po niej migotały się raz za razem różowe, pełzające iskierki. Pan Dominik przypatrywał się iskrom i ruszał wąsami, jakby tym błędnym światłem opowiadał tajemnicze historie. Co pewien czas wyciągał rękę i odgarniał kożuch śmietanki w garnuszku przystawionym do węgla.

U wezgłowia doktorowego pośłania stał stary zegar. Wahadło kołysało się nad samą jego głową. Kiedy pomykało na lewo, w cień, na upstrzonej przez muchy jego powierzchni błyskał klinik światła. Wydawało się, że stary perpendykuł rozdziawia usta i pęka z radosnego śmiechu. Wewnątrz pudła przysypanego wieloletnim kurzem, stuka nieustający chrzęst trybów, niby bicie serca zestarzałego gruchota. Melodia jego szeptu unosi się nad rozmarzona, głową śpiącego, jak śpiew znajomy, rozkochany, tęskny i niewysłowienie słodki.

— Ty nie wiesz — śpiewa — ty nie wiesz, dziecko, co to jest tęsknota... Spójrz tylko raz, spójrz tylko, śpiochu, dźwignij powieką. Widzisz tę łzę, co wytoczywszy się z oka starszego pana Cedzyny, jak łódź na końcu katapulty zawisała na końcu najdłuższego włosa w jego lewym wąsie? Co to za ciężar. co to za ogromna łza, jaka monstrualnie wielka łza Pac! — zleciała z łoskotem na przyszwę lewego buta. Co to? co to? — Wysuwa się druga, jeszcze ogromniejsza, jeszcze cięższa... Kap! — już wisi na wąsie. Starowina boi się bardzo, aby nie upadła na pogrzebacz i głośnym upadkiem snu twego nie spłoszył. Patrz, jak ją paradnie, jak śmiesznie i niezgrabnie zdejmuje z wąsa dwoma palcami... Te łzy — gada stary zegar — były cieńszymi niż nitka pajęcza włóčenkami w sercu, w tym miejscu, gdzie jest nigdy nie schnąca ranka tęsknoty. Było ich mnóstwo, a każda miała brzeżki ostre jak żądło komara. Siedziały jedna obok drugiej komunikiem i nosiły szumny tytuł lasecznika tęsknoty. Niejednemu te figlarne istoty wyssały duszę, niejednemu odgryzały

rozum... tak, tak, czcigodny organizmie... A ty, mo carzu, zadałeś im truciznę jednym jedynym synowskim uściskiem.

Każda skonała i rozplynęła się w wielką łzę szczęścia. Ach, tylko pomyśl... gdyby choć jedna z tych łez upadła na twoją duszę!... Ach, tylko pomyśl — wszak ona straciłaby cię z oblicza ziemi — ach, tylko pomyśl...

W pochodzie kótek i walców gadatliwego klekota nastąpił raptem jakiś kataklizm, jakby stary zegar przeciął sobie język własnymi zębami. Rozległ się tępy szcęk, zamieszanie, łoskot — i powoli, z majestatem, niedołącznie naśladowując głos kukułki, wybiła dziesiąta. Młody człowiek oczami na pół rozwartymi wpatrywał się w okno odtajające w promieniach wesołego słońca. Widział skrawek równiny iskrzącej się od kryształów śniegu, smugę oddalonego lasu i kawałek przeczystego, bladego nieba. Ogarnęła go jakaś boska fantazja. Czuł wyraźnie, że ta chwila, co przemija, ten ułamek czasu, co trwa między jednym a drugim poruszeniem wahadła — to najwyższy i najszczytniejszy, kulminacyjny moment, że to jedyny na całe życie zenit młodości! Cóż mogło być przedtem i co może być potem? Jakież uczucia można przyrównać do tego ostrego widzenia całej drogi życia, do tej twardej pewności: — To, co w tej chwili postanowię, będzie nie tylko mądre i godziwe, ale i dobre...

„Nie, nie pojedę do żadnej Anglii — myślał pan Piotr. — Nie nas brać na kawał! Odeślę belfrowi trzysta franków... przecie zarobię, choćbym miał gnój wyrzucać...”

Po upływie kilku dni i nocy siarczyście mroźnych nastąpiła odwilż. Znikła cudna przejrzystość przestrzeni; opadły delikatne pyłki mrozu kołysząc się nad twardymi jak kamień pokładami śniegu; zginął szron, różowy w promieniach słońca, co stroił suche szkielety topól, cienkie pręty porzeczek i obumarłe badyle wystające spod śniegu. Od rana kapały z dachów wielkie brudne krople; w powietrzu zawisły bałwany szarożółtej pary przytłaczając sobą dym tułający się po dachach. Na krańcach widnokregu uwały się mgły nieprzejrzone na podobieństwo niezmiernych ciężarów, co zdołały wgnieść w ziemię — i wzgórza, i lasy, i wsie odległe.

O godzinie pierwszej z południa pan Dominik powracał z powiatowego miasteczka wynajętą furmanką.

Chude chłopskie szkapięta brnęły w roztajałym śniegu; bose sanice docierały do gruntu i sunęły po grudzie, jak po maglownicy albo zataczały się w wyboje i zatoki. Stary jegomość otulał się zrudziałymi szopami, nasuwał kaszkiet na oczy i ćmiąc niekosztowne cygaro „myślał sobie”. Jeździł niegdyś czwórką wałachów i wspaniałymi saniami, z furmanem w złotawej liberii, otulał się niegdyś kiereją, srogimi niedźwiedziami podbitą... Boże drogi! — ziemia drżała, janczary

słychać było o pół mili, konie parślały, chłopcy i Żydy stały bez czapek... Phi... czy tam teraz jest gorzej — ktoś to wie? Nigdy przecie jazda saniami przez puste pola nie sprawiała mu takiej przyjemności jak dziś, kiedy jedzie chłopskim wasągiem... W domu czeka pan doktor Piotr Cedzyna! Cha, cha!... Nuże, szkapy! bierzcie się w kupę! Jeszcze tylko jeden lasek, tylko mały wózeczek pod Zapłociem.

„Ciekawa historia — myśli pan Dominik — czy Piotrek zrobił i przepisał rachunki? Myślał, huncwot, że mu dam łązić całymi dniami po chałupach (pewnie dziewczuchy niemieckiego uczy...) i baki zbijać. Aha... posiedź no, waćpan, mość chemiku, nad prowentowym kątkiem, pododawaj cyferki, napisz ładnym charakterem wykazy dla pana inżyniera, wyręcz starego ojca. Za darmo ci będę zwoził tytoń i tracił fortunę na sardynki?”

Konie wbiegły na podwórze i zatrzymały się przed gankiem dworu. Pan Cedzyna wylazł ze sanek i wszedł do sieni, z hałasem otrzepując buty ze śniegu. W drzwiach pokoju stał doktor Piotr.

— Co to? Ciebie, widzę, głowa boli! — zakrzyknął pan Dominik.

— Ale gdzie tam! — odpowiedział syn z przymusem.

— A cóżeś taki blady i skrzywiony?

Młody człowiek miał w rzeczy samej minę niewesołą.

Spojrzenie oczu jego dziwnie wyziębło i przyćmiło się smutkiem. Chodził z kąta w kąt, nerwowo paląc papierosa.

— Każę ja Jagnie podać barszcz, to ty mi zaraz nabierzesz rezonu. Bez barszczu, mówię ci, człowiek zawsze kiepsko się czuje.

— Ja nie będę mógł jeść, a zresztą... mało mam czasu.

— Mało masz czasu?

— Tak — powiedział doktor Piotr szorstko; — ja... widzi ojciec... ja muszę jechać. Trudna rada... muszę jechać dla objęcia tego miejsca w Hull.

Pan Dominik nic nie rzekł. Nie zdejmując futra ani czapki usiadł na stoliku i zwiesił głowę. Nie zważał na to, co syn robi — nic nie widział. Czuł tylko, że mu duszno, ciasno we własnych piersiach. Rad by był wyjść na świeże powietrze, ochłonać i zebrać myśli, ale nie mógł jakoś dźwignąć się z miejsca. Młody człowiek porządkował papiery i książki rachunkowe rozrzucone na stole. Wziął w rękę niewielki, stary, zatłuszczony notes, obwiązany brudną tasiemką, i

przewracał w nim kartkę za kartką.

— Proszę ojca — rzekł z żalem i smutkiem w głosie — w tym notesie wyczytałem, że ciąży na mnie dług, który muszę zapłacić bez zwłoki.

— Daj ty mi spokój, daj mi spokój! — odpowiedział stary Cedzyna opierając głowę na rękę.

— Zanim wyjadę, muszę ojcu wytłumaczyć, dlaczego powziąłem decyzję wyjazdu.

— Co ty wytłumaczysz, głuptasie, co? — porwał się starzec. — Jedź, jeśli taka twoja wola. Tylko mi już, przez litość, nie każ podziwiać twojej mądrości.

— Chcę pomówić szczerze i otwarcie o interesie doniosłego dla mnie znaczenia. Przed czterema laty przysłał mi tatko ratami dwieście rubli. W roku następnym dwieście rubli. Potem dwieście pięćdziesiąt rubli i zeszłego roku znowu dwieście. Razem osiemset pięćdziesiąt. Pensja, jaką ojciec pobiera, wynosi trzysta rubli na rok. Skądże?...

— Synku kochany... nie chciej mnie aby robić złodziejem. Jeżeli uważnie przejrzałeś rachunki, to musiałeś dostrzec, że nie przywłaszczyłem sobie ani kopiejki Bijakowskiego. Wszystko jest w wykazach. Że nie sprzedałem potajemnie ani wapna, ani cegły, możesz także przekonać się z rachunków. Daję ci zresztą słowo honoru... nie mam na sumieniu ani jednej kopiejki Bijakowskiego! Tak mi Boże dopomóż!

— Tak, to zupełna prawda.

— Skoro występujesz w roli oskarżyciela, to powinieneś znać się trochę na interesach. Cały sekret polega na tym, że Bijakowski dał mi upoważnienie do pobierania oryginalnej wprawdzie tantiemy. Od sprzedaży nigdy mi jej przyznać nie chciał, a natarczywe moje żądania zbywał zawsze jedną śpiewką: „Produkuj pan taniej... a co na tym osiągniesz, to twoje”. Obiecał ludziom początkowo po trzydzieści kopiejek. Ja im dałem później po dwadzieścia, no i, rozumie się, przystali, bo nigdzie więcej nie zarobią, a tu mają zarobek pewny. Tym sposobem uzbierało się trochę grosza dla ciebie.

— Tak, to właśnie dostrzegłem w rachunkach...

— I to jest cały sekret, oskarżycielu! Złodziejem nie byłem, i, da Bóg, nie będę!

— I ja nim być nie chcę, mój ojczy. Toteż osiemset pięćdziesiąt rubli muszę zwrócić.

— Komu masz zwracać? Ja tych pieniędzy nie przyjmę... wiedz o tym... nie przyjmę! Nie mogłem ci dawać na utrzymanie i edukację więcej, Bóg widzi... ale co mogłem... Staralem się trochę wywiązać z powinności ojcowskiej...

— To nie ojciec dawał mi na edukację i nie ojcu mam zwrócić ten dług gorzki i straszny...

Dominik Cedzyna wysoko podniósł brwi i ze zdumieniem patrzył na syna.

— Ty chyba masz bzika, mój Piotrusiu. Cóż ty pleciesz?

Doktor Piotr usiadł przy stoliku, przysunął arkusz czystego papieru i zaczął mówić powoli:

— Wartość każdego towaru po ukończeniu produkcji składa się z kapitału stałego (oznaczamy go literą c), z kapitału zmiennego, czyli płacy najemników (dajmy na to v), i z tak zwanej wartości dodatkowej, czyli zysku, co oznaczam literą p . Stosunek wartości dodatkowej do kapitału zmiennego, czyli zysku do płacy najemnika, $p:v$, pokazuje stopę wartości dodatkowej, czyli normę wyzysku. Obliczmy, proszę ojca, skrupulatnie przychód i rozchód.

Nad wieczorem dopiero skończył się zajadły spór między ojcem i synem. Obydwaj zamilkli pod wpływem tej zaciętości, co zdaje się zamykać serce tak szczelnie, jak się zamyka wieko trumny nad drogimi zwłokami.

Stary obojętnie i z pogardą patrzył na krzątanie się doktora Piotra dokoła walizki. Od czasu do czasu szyderczy uśmiech przemykał się po jego wargach i oczy błyskały gniewem. Po długim milczeniu wyniośle i obojętnie rzekł:

— Czy tutaj nie mógłbyś stanowczo zarobić, aby uczynić zadość głupim sentymentom?

— Nie mógłbym, proszę ojca, tak prędko, jak tego pragnę. Tam mam miejsce i płacę stosunkowo niezłą.

— Można by i tu znaleźć posadę. Bijakowski...

— Ja nigdy i nic wspólnego mieć nie będę z panami Bijakowskimi. Nikt mnie nigdy nie protegował, oprócz moich wiadomości i pracy.

— Pisałeś mi, że cię protegował jakiś profesor — rzekł stary oschle. — Jesteś w niezgodzie z samym sobą, znakomity filozofie.

— Nie. Profesor podał moje nazwisko, ponieważ stosownie do żądania miał wskazać czyjekolwiek nazwisko. Wskazał moje, bo uważał to za słuszne ze

względu na moją porządną pracę i usposobienie do samodzielnych doświadczeń.

— Rzeczywiście, racja fizyka! Bijakowski również uważałby za słuszne ze względu... i tak dalej...

— Nikt dobrowolnie nie zaraża się parchami... Toteż i mnie dobrze, pókim czysty...

Stary roześmiał się. Znowu nastąpiło milczenie aż do chwili, kiedy młody człowiek zdjął palto z kołka i począł leniwie naciągać je na ramiona.

— Czyż ty naprawdę?... — zapytał pan Dominik.

— Tak, ojcie.

— Oby cię Bóg nie skarał ciężko, moje dziecko!

— Pierwszą ratę mam nadzieję przysłać w maju.

W tym notesie wyliczyłem należytość każdego za cztery lata. Niechże ojciec raczy sumiennie...

— Precz, durniu! — krzyknął grubiańsko pan Dominik w przystępie wściekłego gniewu.

Ręce mu się trzęsły, w oczach migotał zły ogień.

Doktor Piotr, blady jak papier, zbliżył się do niego ze łzami w oczach i schylił mu się do nóg. Starzec odepchnął go, usunął się w kąt pokoju i odwrócił plecami. Słyszał, jak drzwi z cicha skrzypnęły i zawarły się za wychodzącym, słyszał suchy szcęk klamki, ale nie odwrócił głowy. Zapadał powoli w stan gnuśnego spokoju, obojętności tak zupełnej, że graniczyła prawie z zadowoleniem.

„Dobrze, że powiedziałem «durniu»! — pomyślał — to mu pójdzie w pięty...”

Po upływie kilkunastu minut wyjrzał przez okno. Na podwórzu nie było nikogo. Pod zachód słońca widać było przedmioty wyraźnie. Na każdej szybie rysowały się i rosły w oczach, idąc z dołu do góry, fantastyczne gałązki mrozu. Starzec przypatrywał im się z zajęciem i myślał o czymś dawnym, ogromnie dawnym. Doznawał przez chwilę uczuć małego chłopca, który w pięknym dworze siedzi obok matki, pięknej, dobrej, kochanej matki, i patrzy na gałązeczki przymrozka... Nudzi mu się, płakałby i kaprysił, gdyby nie to, że pełzające odnóżki, pręty i zębate liście tak go zaciekawiają, tak bawią...

Z zadumy obudził go dopiero daleki świst lokomotywy. Ten dźwięk sprawił mu taki ból jak uderzenie młotkiem w czaszkę. Wziął czapkę i wyszedł z pokoju.

Ku stacji kolejowej z wolna zbliżał się pociąg, kopiając się i nurzając w zaspach, jakby je żelaznym kadłubem roztrącał i przewiercał. Pan Dominik począł iść ku dworcowi wielkimi krokami. Zmrok padał żywo i w miarę zwiększania się ciemności coraz wyraźniej błyskały latarnie na linii drogi żelaznej, niby duchy dobroczynne dające znać o wielkim niebezpieczeństwie. Gdy pan Cedzyna był na połowie drogi, ujrzał z daleka sylwetkę człowieka idącego od stacji. Odetchnął głęboko w nadziei, że doktor Piotr wraca. Wkrótce zrównał się z tym człowiekiem: był to strycharz z cegielni, młody i wesoły parobczak.

— Ty, gdzieś chodził? — zapytał go rządca ponuro.

— Na stację.

— Po co?

— Zaniósłem zawiniątko za młodym panem...

— Za jakim młodym panem?

— Ady za panem Pietrem.

— Pojechał? — zapytał starzec obojętnie.

— Pojechał, proszę łaski pana,

— Widziałeś?

— A no, nie widziałbym? Jeszczem mu toból zaniósł do maszyny.

— Mówił co do ciebie?

— E... mówić to ta nie mówił dużo.

— Wracaj do domu.

Chłopak oddalił się szybko brzegiem drogi. Potem przeskoczył przez rów i poszedł ku górze na przełaj przez pole.

Pan Dominik patrzył za nim ciągle, wtedy nawet kiedy tamten skrył się w ciężkim cieniu góry. Twarz starca stuliła się i zmalęła, nos się wygiął i wyciągnął ku brodzie, oczy nakryły dolnymi powiekami. Stał na miejscu i sięgał co chwila ręką jakby z zamiarem przywołania strycharza. Następnie poszedł wolno, nie mając żadnego już zamiaru ani wiadomości o kierunku, w jakim postępuje.

Schylał się ku ziemi i przy świetle ostatniego brzasku zorzy wieczernej rozpoznawał głębokie ślady stóp syna wyciśnięte w miękkim śniegu, które teraz mróz miłosierny utrwał dla niego na tej okrutnej drodze. Na każdym z tych śladów zatrzymywał się, macał go laską... Na każdym z piersi jego wydierał się cichy, nieprzerwany jęk, podobny do żałosnego skomlenia wiatru nad mogiłami cmentarza.